

Żywiół Piotra Stramowskiego

 legalnakultura.pl/pl/czytelnia-kulturalna/rozmowy/news/2856,piotr-stramowski

Rozmowy

O pracy twórczej, rzemiośle i artystycznych zmaganiach. O rozterkach w kulturze i jej losach w sieci, rozmawiamy z twórcami kultury.

CZYTELNIA KULTURALNA

/ Rozmowy



12.01.18

Szukanie sprawia mi znacznie większą frajdę niż klepanie wyuczonych kwestii. Zresztą w ogóle w życiu lubię pewien rodzaj niepewności i instynktownie szukam go też w pracy - mówi Piotr Stramowski. Aktor znany z roli Majamiego, policjanta z irokezem w "Pitbullu", tym razem pojawia się jako skromny taksówkarz w komedii romantycznej "Narzeczony na niby". Mało kto wie jednak, że prawdziwym żywiołem Piotra Stramowskiego jest teatr, który wychodzi poza strefę aktorskiego poczucia bezpieczeństwa.



Watch Video At: <https://youtu.be/XdOzsF-Av8M>

**Właśnie zagrałeś główną rolę w komedii romantycznej „Narzeczony na niby”.
Zrywasz z dotychczasowym wizerunkiem macho?**

(śmiech) Intuicyjnie szukam dla siebie nowych wyzwań. W tym zawodzie to konieczne, ale też odświeżające. Ludzie bardzo szybko utożsamiają nas z postaciami, które gramy, dlatego trzeba bardzo uważać, żeby się nie powtarzać i całe życie nie grać tylko zdradzonego kochanka lub gangstera.

Dlatego przyjąłeś tę propozycję od Bartosza Prokopowicza?

Bo wiedział czego chce i mnie do tego przekonał.

Twój Szymon to do bólu zwykły koleś.

Cieszę się, że to mówisz, bo tak miało być. Zagrałem normalnego gościa z problemami, wyjętego z codziennego i wcale nie bajkowego życia. I chociaż to komedia, nie zagrałem komedianta, który puszcza oczko do widza.

Ale chyba do kreowania takiej roli potrzeba całkiem innego nakładu pracy niż przy przygotowywaniu chociażby Majamiego? Traktujesz ten gatunek z przymrużeniem oka?

Wręcz przeciwnie. W teatrze doświadczyłem tego, że komedię gra się najtrudniej. A romantyczne – to dopiero wyzwanie. Zwłaszcza w Polsce. Na palcach jednej ręki mogę policzyć rodzime komedie romantyczne, które naprawdę mi się podobały. Oczywiście podstawą jest dobry scenariusz, ale i najlepsze scenariusze wypadały blado na ekranie,

jeśli reżyser i aktorzy nie znajdowali do nich klucza. Tu wszyscy muszą grać do jednej bramki. A na planie często nie ma czasu na przygotowania, przemyślenie scen tak, by wszystkie elementy do siebie pasowały. A bez tego, to sama wiesz, że niewiele może się udać. Pamiętam pierwsze spotkanie z Bartkiem, brzmiał bardzo rozsądnie, od razu znaleźliśmy wspólny język, na coś się umówiliśmy i chyba udało się to osiągnąć. Ja w każdym razie, wracając do twojego pytania o sposób przygotowywania się, podszedłem do zadania poważnie i trochę się namęczyłem z postacią Szymona.

Dlaczego?

Bo nie jest łatwo grać kogoś normalnego, a zarazem przykuwającego uwagę. Poza tym sporo w Szymku mnie, a ja się wolę ukrywać.

Do tej pory grałeś charakterystyczne postaci, także w teatrze, chociażby u Mai Kleczewskiej.

Bo lubię schować się za formą, daje mi to pewien rodzaj bezpieczeństwa. Tym razem Bartek wymagał ode mnie, bym pokazał jakąś część siebie. Oczywiście za każdym razem pracując nad postacią czerpię ze swoich doświadczeń i emocji, ale zawsze starałem się tak kombinować, by obraz końcowy daleko odbiegał ode mnie – Piotrka Stramowskiego. Lubię szukać, przekraczać granice.



W filmie "Narzeczony na niby", fot. Ola Grochowska

U Mai Kleczewskiej nie da się nie przekraczać granic.

To prawda. Po raz pierwszy spotkaliśmy się w czasie pracy nad dyplomem „Babel 2”.

A musisz wiedzieć, że na roku w krakowskiej PWST tworzyliśmy dość niepokorną grupę. Studiowałem z Marcinem Kowalskim, Dawidem Ogrodnikiem, Kubą Gierszałem, Maćkiem Nawrockim, Kaśką Zawadzką czy Asią Woźnicką, przewinał się też Mateusz Kościukiewicz. Nie są to uległe osoby (śmiej). Wykładowcy czasem narzekali, że odbija nam palma, że gwiazdorzymy. A myśmy po prostu chcieli iść na całość, bez kompromisów. I zamiast Mickiewicza robić Dostojewskiego czy Bergmana. I chociaż reżyserzy dyplomów są przydzielani odgórnie, pierwsi wyszliśmy z inicjatywą i zaproponowaliśmy Maję Kleczewską, która wcześniej nie pracowała w szkole.

Jak zareagowała?

Była, mówiąc delikatnie, sceptyczna. „Co? Mam pracować z dziećmi? Przecież oni jeszcze nic nie wiedzą!” – śmiała się, ale później powiedziała, że to super doświadczenie dla reżysera, że "odświeżyliśmy jej krew". Okazało się, że to jedna z tych reżyserek, które dają sporo wolności i pole do poszukiwań. Dała nam tekst i wyznaczyła ramy, których mamy się trzymać, pozostawiając przy tym miejsce na kolejne teksty, które mogliśmy dodawać do monologów. W przypadku „Babel” był to niełatwy utwór, zresztą jak większość tekstów Elfride Jelinek. Maja bacznie przygląda się aktorom, jest ciekawa jak myślą, z jakim bagażem przychodzą, co mogą zaproponować, jakie stany potrafią osiągnąć i gdzie jest ich granica bezpiecznej strefy. Na jednej z pierwszych prób poprosiła, żebyśmy najpierw sami wybrali fragmenty tekstu, które nas interesują. Tak się złożyło, że byłem świeżo po filmie „Mroczny rycerz”. I tak zainspirował mnie Jocker Heatha Ledgera, że postanowiłem użyć tej figury. Wszedłem w buty psychofana Ledgera. Trochę w tym odpłynąłem, zacząłem skupiać się na stroju, przeglądać w Internecie tych, którzy go naśladują w roli Jockera. Za własne pieniądze kupiłem krawat i skarpetki, które przyleciały z Chin! Chodziłem do krawca, by ten zrobił mi taki sam płaszcz jaki nosił w filmie, itepe, itede... Majka patrzyła na to z coraz większym niepokojem, aż w końcu odcięła się od mojego pomysłu, zostawiając mnie z tym całym "majdanem" samego. Tekst się bronił - to była straszna, dziwna, chwilami żenująca i smutna opowieść o sfrustrowanym gościu, który próbuje dogonić swój ideał i ma na to tylko kilkanaście metrów kwadratowych sceny – ale ja się w tym pogubiłem i potrzebowałem, żeby ktoś mnie nakierował na właściwy tor. Odnaleźć się w tym szaleństwie pomógł mi asystent Majki - reżyser Paweł Świątek, który chyba jako jedyny w tamtym czasie mnie rozumiał i pomógł mi się jakoś wygrzebać z tej "ślepej uliczki". Później na szczęście Majka wróciła do gry, to wydarzenie paradoksalnie nas zbliżyło. Zobaczyła, że się nie poddaję i idę na całość. Kiedy dziś to wspominamy, śmiejemy się z tego, ale wówczas nie było mi do śmiechu...

I tak trafiłeś do Teatru Polskiego w Bydgoszczy, gdzie przez dwa sezony byłeś w zespole.

Tak, rzeczywiście niedługo po dyplomie. Trochę uratował mnie wtedy Paweł Sztarbowski, wyciągając ze spektaklu "Kamasutra". To nie był dobry projekt i na szczęście wyłudowałem w "Bydź". Dyrektor Łysak chcąc mnie sprawdzić, zaproponował spotkanie z Grażyną Kanią, która przygotowywała w Niemczech w koprodukcji z Teatrem Polskim

tekst Artura Pałygi i Kathariny Gericke „Truskawkowa niedziela”. Dogadaliśmy się i wszedłem w ten projekt. Zresztą wtedy nie miałem nic do stracenia. Dwa miesiące spędziłem na północy Niemiec w Wilhelmshaven na próbach. To było cenne doświadczenia, właściwie moja "inicjacja teatralna". Fajnie to wypadło, pierwszy projekt poza szkołą i przy okazji wspaniała przepustka do teatru.

Dużo dało Ci doświadczenie bydgoskie?

Bardzo. To był dobry czas pracy nad warsztatem, sobą, nad ciałem. Trochę mnie to ukształtowało. Zresztą kolejne spotkania z Majką – najpierw przy „Burzy”, potem „Podróży zimowej”, oraz takimi reżyserami jak Marcin Liber, Ewelina Marciniak czy Wojtek Faruga były dla mnie wyzwaniem. Każdy reżyser jest inny, od każdego bierzesz "do skarbczyka" co innego. Liber lubi formę, Faruga bardzo fajnie przedstawia historię, Marciniak lubi poruszać perwersję i szokować widza, a Łysak świetnie czuje klasykę. Wróćmy do Majki, bo to z nią chyba najwięcej zrobiłem spektakli. Trudno opisać tę pracę. Majka bardzo głęboko wchodzi w każdy tekst i dokopuje się do meritum, warstwa po warstwie. Niekiedy pod okiem Marka Wilkirskiego, wykorzystuje ustawienia Hellingera, co jest niespotykane w teatrze. I w pewnym sensie tworzy spektakl z improwizacji. A ja lubię szukać. Szukanie sprawia mi znacznie większą frajdę niż klepanie wyuczonych kwestii. Zresztą w ogóle w życiu lubię pewien rodzaj niepewności i instynktownie szukam go też w pracy.



W biurze Legalnej Kultury, tuż przed przeprowadzeniem wywiadu :)

Wspomniałeś o przesuwaniu granic. W spektaklach Kleczewskiej widać, że nie boisz się nagości, ale widać też, że sporo czasu poświęcasz na pracę nad ciałem. Sport to Twój rytuał, czy po prostu element pracy?

Spójrz na mnie! Widzisz ten brzuszeczek? (śmiech). To fakt, do treningów zapaliłem się właśnie w Bydgoszczy. Przyznam szczerze, że była to świetna alternatywa, żeby nie siedzieć dwadzieścia cztery godziny na dobę w „teatralnym smogu”. Potrzebowałem przewietrzyć umysł i zapisałem się na siłownię. Endorfiny i serotonina robią swoje. Dużo lepiej się po tym próbowało na scenie.

Zmieńmy temat - Pitbull. Mam wrażenie, że Patryk Vega wymyślił cię na nowo?

Trochę tak. Przede wszystkim zobaczył we mnie coś, czego ja wcześniej nie widziałem. I chyba już na pierwszym spotkaniu podczas castingu do „Służb specjalnych”. Zagrał wtedy ze mną parę scen i powiedział: „Spoko jesteś, ale nie mam teraz nic dla ciebie. Nie chcę cię palić. Dam ci coś większego, ale poczekaj.” No i czekałem. Zadzwoił za rok i zapytał, co robię w październiku i czy nie chciałbym "pierdolnąć" piętnastu dni zdjęciowych?

Tak po prostu dał Ci tę rolę?

Nie, nie. Dwa tygodnie mnie testował i mi się przyglądał, po czym powiedział, że muszę się zmienić o 180 stopni. Musiałem zacząć mówić niższym głosem, zapuścić brodę, zmienić fryzurę i chód. Kiedy oglądałem film po raz pierwszy, nie wierzyłem. Non stop chowałem twarz w dłoniach. To już nie byłem ja.

I to był ten moment, podczas którego poczułeś, że stałeś się kimś innym.

Ten moment świetnie wyłapała Kasia, moja żona. To było podczas oficjalnej premiery filmu. Pamiętam, że przeszedłem bez irokeza, bez tatuażu, mięśnie już nieco mi opadły, czułem się lekko nieswojo. Tuż po projekcji udzieliłem serii wywiadów, rzucili się na mnie paparazzi, producenci dawali wizytówki. Moje dawne życie nagle przysło. Kasia mi wtedy powiedziała, że wszedłem na ten pokaz jako zwykły chłopak, a wyszedłem jako gwiazda.

Odbiło Ci?

Były takie momenty. Ale dziwisz się? Kiedy nagle dostajesz taki zastrzyk uwagi, popularności, uwielbienia, to nie wiesz, o co chodzi. To jest nienaturalne. Idziesz ulicą i ludzie patrzą na ciebie z podziwem, czasem zagadują, czasem się uśmiechają. Czasami Kasia musiała mnie mentalnie szturchać i mówić „Hej, hej, wyluzuj”.



Z Mają Ostaszewską w Pitbullu / Kino Świat

Przygotowując się do roli Majamiego trochę czasu spędziłeś z antyterrorystami. Chyba jest parę wspólnych mianowników w pracy aktora i policjanta? I nie mówię tu o konstrukcji psychicznej...

Wiem, o czym mówisz. I oni, i my po pracy zrzucamy emocje, przebieramy się i jedziemy do żon, dzieci i bezpiecznych domów. Tylko my do pewnego stopnia udajemy, oni – nie. Ponieważ podglądałem ich w pracy, wiem, jakie to ciężkie ciągle być na standby'u i czekać na telefon z informacją o akcji. Gdyby nie te godziny spędzone z nimi, nie stworzylibyśmy z Patrykiem takiej roli. Byłem z nimi w pracy, z której czasami nie chcą wychodzić do domu, bo wiedzą, że muszą się przestawić na inny tryb tylko na kilka godzin i zaraz tu wrócą. Pewnie na początku to ich kręciło, było zabawne, nowe, byli z tego dumni. Ale po kilku miesiącach takie poczucie pryska, pojawia się świadomość w czym się siedzi i że jest to ogromna odpowiedzialność za siebie i innych. Zresztą ich „wrogami” są ludzie bardzo podobni do nich, zarówno policjant jak i gangster kierują się jasnymi zasadami. Z tą różnicą, że policjanci kierują się potocznie "słusznymi" wartościami, które ktoś wcześniej nazwał, które są ogólnie przyjęte, a gangsterzy samie sobie je wyznaczają. Pamiętam, jak chodziłem po mieście "w postaci" i szukałem tego stanu. Patrzyłem wtedy na tych rozbawionych ludzi na Placu Zbawiciela i uświadomiłem sobie, że jestem z zupełnie innej bajki, byli jak za szybą. Ja byłem stróżem, odpowiedzialnym za to, żeby oni mogli spokojnie pić kawę i flirtować na randkach. To było bardzo wyczerpujące, a ja przecież tylko udawałem.

Co Ci dzisiaj zostało z Majamiego?

Na pewno dodał mi odwagi i mocniej stąпам po ziemi. Jestem nieco pewniejszy siebie.

To jest tak, jakbym przez chwilę żył cudzym życiem, dlatego nawet nie do końca zdaje sobie sprawę z tego, co wciąż we mnie siedzi. Ale tak w ogóle jest z granymi postaciami. Jakaś ich część zawsze zostaje z tobą, nawet po tym jak już padnie ostatni klaps.

Nad czym teraz pracujesz?

Właśnie ruszyła machina związana z filmem „Klatka”, w którym zagram zawodnika MMA. Jedną z głównych ról gra też Eryk Lubos. Przy produkcji współpracujemy z Organizacją Sztuk Walki LFN i KSW. A wkrótce na ekrany wejdzie międzynarodowa produkcja „Ostatni świadek”, w której gram żołnierza obok Roberta Więckiewicza i Alexa Pettyfera. To opowieść o zbrodniach katyńskich. Trudny, ale ważny film. Chciałbym ci też powiedzieć, że zaraz zacznę próby w teatrze, ale...

...

ale nie możesz, bo pewnie nie masz czasu. Tęsknisz w ogóle za sceną?

I to jak! Tęsknię za sceną, jej zapachem, w ogóle za ciszą w teatrze. Chyba mam plan.

Jaki?

Tajemnica, nie powiem. (śmiech)

Czym jest dla Ciebie legalność?

Legalność jest bardzo ważna. Kiedyś nie miałem takiej świadomości i na studiach zdarzało mi się ściągać filmy, żeby przygotować się do zajęć, ale teraz tego nie robię. Na własnej skórze doświadczyłem, co się dzieje, kiedy film wycieknie do sieci wbrew woli twórców. Po prostu filmu nie ma, nie sprzeda się, a z tych pieniędzy mógłby być sfinansowany następny film. Ważne by, poza mówieniem o tym, że nie należy korzystać z pirackich źródeł, uświadamiać ludziom konsekwencje korzystania z nielegalnych serwisów.

Rozmawiali: **Agnieszka Michalak i Szymon Majewski**

Publikacja powstała w ramach

Społecznej kampanii edukacyjnej Legalna Kultura

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

